Nr. 153. Lwów. — Czwartek dnia 8. lipca. Rok 1886.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:		Na prowincji z przesyłką pocztową	
Miesięcznie	— zł. 75 ct.	Miesięcznie	1 zł.
Kwartalnie	2 „ 25 „	Kwartalnie	3 „
Półrocznie	4 „ 50 „	Półrocznie	6 „
Rocznie	9 „ — „	Rocznie	12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy.

Adres Redakcji i Administracji: Ulica Sykstuska l. 45.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmują:

WE LWOWIE: Administracja *Przeglądu* ul. Sykstuska l. 45. W WIEDNIU *Prenumeratę*: Zeitungsbureau Goldschmiedt (I. Wollzeile Nr. 6). — *Ogłoszenia*: M. Dukes. Schulerstrasse 1—3. Moritz Stern, Wollzeile 22. — Alois Herndl, Schulerstrasse 14 — Rudolf Moses, Seilerstädte 2.

OGŁOSZENIA przyjmują za opłatą 10 ct. od wiersza petitowego za pierwszy raz, a 5 ct. za każdy raz następny

NADESŁANE w cenie 30 ct. od wiersza.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Elżbiety Kr. Wd.
Jutro: Cyryla.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 4 m. 15 0 Długość dn. g. 16 m. 42
Zachód „ g. 7 m. 57·0 Ubyło „ 2 min.

Szkice z Belgji.

Antwerpja.

Opuszczając stary, niski, sklepiony dworzec kolejowy w Antwerpji, nie doznajemy bynajmniej wrażenia, że jesteśmy w centrum jednego z najpierwszych miast handlowych świata. Nic nam nie przypomina, że na tym niepokaźnym kawałku ziemi rok w rok spływają bogactwa mnóstwa narodów, że wielkie okręty wymieniają tu swoje towary, że ogromny ruch zbliża tu ludy całego świata do siebie.

Widzimy przed sobą długie bulwary wylane asfaltem, zielone drzewa, wesoło tryskające fontanny i przepyszne monumenty. Można godzinami snuć się po tych bulwarach zwanych w Antwerpji „Avenues“, podziwiać bogatą elegancję prywatnych i publicznych budynków, oglądać z zdumieniem ozdoby rzeźbiarskie na domach, — ale nie znaleść nigdzie ani śladu większego ruchu na wybrzeżu, okrętów, krzyku majtków, zabiegliwej lataniny kupców. Antwerpja na pierwszy rzut oka robi wrażenie spokojnego, przyjemnego miasta prowincjonalnego, do którego ściągnęli spokojni pensjoniści i rentierzy na kwaterę.

Tramwaje bez pasażerów wloką się powoli po długich ulicach tam i napowrót; umundurowani woźnice wysypiają się na kozłach swoich połamanych dorożek, a mnóstwo Anglików przyjeżdżających do Antwerpji stoi przed pomnikiem Rubensa i trzymając Baedekera w ręku z niewypowiedzianym melancholijnym spokojem spogląda w górę ku wielkiemu malarzowi. Tu i ówdzie jakiś flamandzki urwis wywołuje całkiem niezrozumiałe nazwisko jakiegoś dziennika, a naprzeciw gadatliwa przekupka zaleca owoce po „*fife cents het kilo*“.

Oto prawie wszystko, co w pierwszych kilku godzinach widzieć można w Antwerpji — i rozczarowanie nierzadko jest tak wielkie, że obcy bierze pierwszą lepszą dorożkę, ażeby jak najprędzej czmychnąć z tego miasta.

Mało jest miast w Europie, które wymagają dla dokładnego poznania tak długiego i gruntownego studjum jak właśnie to belgijskie miasto handlowe. Przedewszystkiem nie należy się poddawać wrażeniu z pierwszych kilku dni pobytu. Potrzeba głębiej wejść w życie Antwerpji, ażeby zyskać przeświadczenie, że tu mieszkają obok siebie dwa zupełnie oddzielne światy, tak oddzielne pod względem zewnętrznego wyglądania jak i życia prywatnego, że Antwerpję można śmiało nazwać małym Londynem.

W portowem tem mieście widzimy rafinowaną elegancję skojarzoną z praktycznem umiarkowaniem, a najbliższą ich sąsiadką jest najokropniejsza nędza. Oto, co wyróżnia charakter Antwerpji tak znacząco od innych pokrewnych miast portowych na Żuławach.

W Amsterdamie i Rotterdamie nie masz bulwarów i eleganckich dzielnic miasta. Wszystkie ulice, drogi, uliczki i przesmyki służą handlowi; ruch, ścisk w nich przez cały dzień i noc; kupiec holenderski nie potrzebuje bulwarów ani zielonych drzew, bo nie wychodzi nigdy na promenady. Dom holenderskiego kupca jest wzorem skromnej prostoty: na dole magazyny kawy, herbaty lub nafty — na górze skromne mieszkanie rodziny. Nie masz tu rzeźb na froncie, żadnych ozdób, pięknie malowanych bram, żadnych portalów i wjazdów — bo nie ma i pojazdów. Piękna barwa czerwonych cegieł zaspokaja estetyczne pragnienia wzroku takiego kupca najzupełniej.

Można w Amsterdamie i Rotterdamie godzinami błądzić i nie spotkać ani jednego ekwipażu. Dopiero kiedy nagromadzone miljony zaczynają ciężyć takiemu „Mynheer“, wtedy dopiero zaczyna się uspokajać i myśleć o porzuceniu handlu. Jakoż w jednym momencie gwar miasta, do którego przywykł, przejmuje go wstrętem niewysłowionym i nasz kupiec wyciąga z żoną i dziećmi do Utrechtu, holenderskiego Grazu, miasta pensjonistów albo do Hagi, holenderskiego miasta dyplomatycznego z francuskim pokostem.

Z tem wszystkiem nie wyda on ani „centa“ na upiększenie swoich wielkich miast handlowych, bo „piękno“ uważa za rzecz niepraktyczną. Całkiem inaczej przedstawia się charakter antwerpczyka. W tych familjach kupieckich, które przebyły najrozmaitsze koleje i doświadczenia, bogatych, lubiących przepych i okazałość, żyje tradycjonalny zmysł dla sztuki, skłonność do elegancji, a to podnosi Antwerpję o całe niebo wyżej nad poziom wszystkich jej niederlandzkich rywalek. Nie bez racji nazywają Antwerpję „metropolją sztuki“, gdyż to miasto w czasie swego największego rozkwitu wydało nietylko najznakomitszych malarzy holenderskich, jak Pawła Piotra Rubensa i Antoniego Van-Dyka, ale sztukom pięknym zawsze od tego czasu dawało gościnne schronienie. Kupiec antwerpski, wierny tradycji przodków, nie chce zawsze leżeć na swoich workach kawy i oddechać wiecznie powietrzem biurowem. Po ukończeniu spraw dziennych lubi on w swoim wspaniałym pałacu, godnym skarbów, jakie posiada, użyć swobodnego, miękkiego wypoczynku i wszystkich rafinowanych przyjemności naszego stulecia. Wyzierając oknem nie chce widzieć wzburzonego morza, dymiących parowców, zapracowanych majtków, ale pragnie dzieł sztuki i cudów natury. Dlatego obok handlowej zbudował sobie drugą elegancką Antwerpję, dwa niepodobne do siebie światy.

W domach bogatych patrycjuszów antwerpskich w dniach zwykłych, mimo zewnętrznej okazałości prowadzi się życie proste, skromne. Trzeźwy pogląd kupca na życie dominuje tu po nad wszystkiemi innymi czynnikami. Bogaty kupiec jest w rannych godzinach zajęty w swym kantorze, albo opatruje swoje okręty potężne, wypływające z drogim ładunkiem na dalekie oceany. Tymczasem gospodyni domu, przy pomocy dorosłych córek czynną jest około gospodarstwa domowego. Prawdziwy, olśniewający przepych antwerpskich patryjeuszów rozwija się dopiero przy okazji jakiej uroczystości w całym blasku. Zeszłego roku, przy sposobności wystawy międzynarodowej w Antwerpji miałem przyjemność otrzymać zaproszenie prezydenta wystawy pana Wiktora Lynen, jednego z najbogatszych kupców, na festyn domowy, wydany na cześć gości wystawy. Festyn wyprawiony w patrycjuszowskim pałacu Lynów był uzmysłowioną alegorją i przedstawiał, jak wszystkie narody znoszą swoje bogactwa do Antwerpji. Nigdy dotychczas nie widziałem podobnego przepychu, takiego olśniewającego bogactwa. Z dołu do góry całe schody przykryte były najwytworniejszemi dywanami smyrneńskimi, które tego dnia skazane były na nieuchronne zniszczenie z powodu zaproszenia mnóstwa osób. Schody marmurowe były ubrane rzadkiemi egzotycznemi kwiatami, ściany sal zakryte olbrzymiemi obrazami Alfreda Stevensa, Israela, Verlata, Jana van Beera, Emila Wautersa i t. p. Cały dom, okrywający w niepozornych zresztą swych murach niesłychane bogactwa, pływał w morzu elektrycznego światła. Świetne toalety damskie w ogromnej liczbie, były tak olśniewające, że o wiele przewyższały świetność, z jaką zwykły panie występować na dworskich balach w Brukseli. Djamenty i brylanty, które miała na sobie pani domu, oszacowano na kilka miljonów.

Majątek całego narodu zdawał się nagromadzony w niewielkiej tej przestrzeni między kilkoma murami, a nieszczęśliwy śmiertelnik w czarnym fraku przechadzający się między blaskami brylantów, czuł się upokorzonym, nieskończenie małym w tym kole miljonerów. Człowiekowi zdawało się, że jest zaczarowanym w pałacu jakiegoś księcia z tysiąca i jednej nocy, a był u zwykłego mieszczanina, który nawet nie ma prawa przed swoje nazwisko położyć prostego „*von*“, nie jest ani deputowanym ani senatorem, ani nawet radnym miejskim, bo całą jego ambicją jest, być i zostać zawsze kupcem. Kiedy nazajutrz widziałem tego pana Wiktora Lynen wczorajszego miljonera, przy biurku w kantorze, kiedy badał najmniejsze przedmioty swego handlu i z jakimś komisantem targował się o drobną różnicę w cenie poznałem po tym śnie nocy letniej znowu moję szczęśliwą demokratyczną Belgję.

Niestety Antwerpja posiada nietylko domy patrycjuszowskie, gdzie panują uciechy ziemskiego żywota, ale ma także ponure i smutne dzielnice, gdzie niemasz nic jak tylko nędza okropna, „*noire misère*“ jak powiada Zola w swoim „Germinal“. W ciasnej, zakamarkowato budowanej dzielnicy majtków, dotykającej bezpośrednio pysznych bulwarów rozwijają się najsmutniejsze obrazy ludzkiej niedoli.

Życie wielkiego miasta, szybki ciągle zmienny ruch tysiąca majtków, którzy wstępują na ląd po to tylko, ażeby po okropnych znojach i niedostatkach życia okrętowego rzucić się w wir rozpusty, bezgraniczne zepsucie tych ludzi w ogóle, wszystko to stworzyło w Antwerpji dzielnicę w której panują wszystkie występki ludzkie. Kult heter w najpodlejszym gatunku zatruwa tu ludzi i domy i stwarza stosunki, które przypominają londyńskie nory bandyckie. Kto nie jest z tą szczególną ludnością na stopie zupełnie poufałej niech się nie waży wejść w owe zaułki. Policja nadzoruje je wprawdzie, ale też ile możności omija. Istnieje podanie, że niejeden policysta który w nocy ważył się wejść w te osławione miejsca, już więcej nie pokazał się na świecie. Dla tego przezorna sprawiedliwość nie lubi w ogóle sięgać ramieniem w dzielnicę majtków, dopóki te długie suche postacie nie opuszczą zaułków. Jeśli jednak, jak się to często zdarza, przychodzi do krwawej bójki pomiędzy majtkami, naówczas patrole przetrząsają to całe ohydne legowisko zbrodni porządnie. Wtedy znowu jakiś czas jest mowa o dzielnicy majtków — aż jakiś uroczysty pochód na bulwarach, jakiś obchód w mieście każe zapomnieć o tragicznem tle bogactwa i przepychu w Antwerpji,

Dr. Maurycy Wollmann.

Drobiazgi polityczne.

Rosja zrobiła nowy i ważny krok na szachownicy politycznej. *Gazeta Kolońska* otrzymuje z Londynu następującą o tem depeszę: „Przed kilku dniami wywarła w tutejszych politycznych kołach wielkie wrażenie półurzędowa enuncjacja *Journal de St. Petersbourg* z d. 29 czerwca. Wrażenie było tem większe, że nikt nie umiał poznać celu, do którego rzeczony artykuł skierowano. *Journal* zaznaczył, że ks. Aleksander stał się winny jeszcze większych przestępstw aniżeli naruszenia organicznego statutu, że książę nie uwzględnił nawet ugody europejskiej, że przeto jego postępowanie nie świadczy bynajmniej o tym szacunku jaki powinien książę żywić dla europejskiego areopagu. Ponieważ zaś Konstantynopol okazał się względem postępków księcia obojętny, ba nawet życzliwy, i ponieważ skutkiem tego uzasadnionem było podejrzenie, iż między Portą a księciem przyszło w tej mierze do pewnego porozumienia, więc przypuszczać należy, iż takie postępowanie Turcji nie pozostanie bez następstw. Po tem wszystkiem, co się stało, Rosja nie może dalej pozostawać na stanowisku jedynego obrońcy uchwał Europy.

Bo uchwały te, jak widać, utraciły zupełnie swą wartość zarówno w pojęciu tych, którzy je powzięli, jak tych, dla których zostały powzięte.

Wrażenie wywołane temi wywodami było tem silniejsze, niepokoiło wszystkich tem bardziej, że, jak czytelnicy sobie przypomną, zamykało je

pytanie. Któż może zaprzeczyć, że taki stan rzeczy kryje w sobie poważne niebezpieczeństwa?".

Dziś nareszcie opadła zasłona z aluzyj petersburskiego *Journal'u* a to, o czem doszły nas słuchy, pokazuje do czego Rosja zmierza.

Jak swojego czasu Rosja skorzystała z ostatniej wojny prusko-francuskiej, aby się pozbyć nieznośnych dla niej postanowień paryskiego traktatu 1856, przeszkadzających rozwojowi wojennej floty na morzu Czarnem, (na co zezwoliła Czarnomorska komisja mocarstwowa zebrana w Londynie, w marcu 1871), tak teraz znowu chce ona wyzyskać wyraźne pragnienie pokoju w innych mocarstwach i tym sposobem doprowadzić do zdjęcia więzów krępujących ją z woli Europy. Tego, na co Europa pozwoliła małemu książątku bułgarskiemu, przecie nie może odmówić potężnemu carowi i to jest logika na podstawie której Rosja domaga się, aby skreślono art. 59 traktatu berlińskiego z r. 1878 orzekający, iż Batum ma w przyszłości być wolnym portem handlowym. Dzieje tej uchwały są następujące. W pokoju Sanstefańskim zobowiązała się Porta do spłaty Rosji kosztów wojennych w wysokości 1.410 miljonów rubli, a ze względu na przykre stosunki finansowe, zamiast dać gotówkę, odstąpiła Rosji na własność ormiańskie Ardahan, Batum, Kars i Bajazid, jakoteż terytorjum sięgające aż do gór Soghanli za cenę 1.100 miljonów rubli. Ten punkt ugody równie, jak inny zezwalający na utworzenie niezawisłego Księstwa Bułgarskiego aż po morze egejskie, był głównym przedmiotem irytacji ze strony Anglji. Po długich rokowaniach między lordem Beaconsfieldem a ks. Gorczakowem uchwalono wreszcie d. 30 maja oddać Porcie napowrót dolinę Alaszkert i miasto Bajazid ze względu na ich wielką doniosłość handlową, a port Batumski pozostawić Rosji bez wszelkich ograniczeń.

Ale pomimo tej ugody usiłował lord Beaconsfield na kongresie berlińskim doprowadzić do dalszych ograniczeń Rosji, a uchwały z dnia 6 czerwca przyniosły mu pożądany rezultat. Ks. Gorczaków oświadczył na tem posiedzeniu, że car przystaje na uznanie Batumu wolnym portem, aby w ten sposób zapewnić nieograniczone stosunki handlowe z Persją, której karawany obierają sobie drogę na Batum. Lord Beaconsfield przyjął wtedy to oświadczenie z podziękowaniem do wiadomości, jakkolwiek nie zataił tego, iż wolałby i nadal widzieć Batum w rękach tureckich. Wyraził on następnie nadzieję, że wolny port będzie w interesie zarówno Rosji, jak Turcji i innych państw środkowym punktem ich zjednoczonej energji przedsiębiorczej. Rosyjskie ustępstwo wciągnięto zaraz do traktatu, jako 59 artykuł, co oczywiście dla Rosji nie było zbyt pożądanem, gdyż na koncesję przystała ona nie dobrowolnie, ale pod presją. Co się tycze samego Batum, mocno podupadłego pod panowaniem tureckiem, to wyszedł on na zamianie przynależności bardzo dobrze.

W ośmiu latach podwoiła się liczba mieszkańców, a korzystnie na tameczne stosunki oddziałało także połączenie miasta zapomocą lokalnej kolei z rosyjską linją kolejową Poti-Tyflis, która teraz jest pośredniczką w ruchu z Persji i do Persji, a zarazem zastępuje drogę karawan ciągnącą się przez terytorjum tureckiej Armenji. Ale nadany w ten sposób za pomocą kolei inny kierunek głównej drodze handlowej zmniejszył nieco znaczenie Batumu, jako wolnego portu, co wprawdzie nie daje się jeszcze czuć dla ogółu handlowego, jednakowoż ze względów politycznych jest przykrą dla Anglji rzeczą. Zauważyć jeszcze potrzeba, że stało się to właśnie w chwili, gdy, sądząc po rozmaitych objawach, przypuszczać było można wysoce poufałe stosunki między Rosją a gabinetem Gladstona. Mimo to jest rzeczą pewną, że teraz, tak samo jak w r. 1871, mocarstwa nie sprzeciwią się Rosji. Z jednej strony nie będą one miały w teraźniejszem położeniu nic przeciw temu, aby rosyjskiej dyplomacji wyświadczyć w drodze pokojowej tę wielką przysługę, zaś z drugiej strony wezmą w rachubę okoliczność, że te interesa handlowe są zbyt drobnej wagi, aby miały przeważyć szalę pokojowych stosunków Europy z Rosją."

Korespondencje.

Warszawa 4 lipca.

Wypadkiem niezwykłym pewnego wieczora przed dwoma tygodniami było pojawienie się na deskach teatru „Alhambra" gdzie tego roku gości trupa poznańska, komedji p. t. „Wicek i Wacek", autorem której jest młody, z kilku wszakże wcale udatnych prób scenicznych już znany autor Zygmunt Przybylski.

Nazajutrz cała Warszawa podawała sobie już jedno tylko hasło „Wicek i Wacek" — i od tego dnia co wieczora w „Alhambrze" pełno, a bez przesady powiedzieć można, że powodzenie i popularność sztuki rośnie w kwadratowym stosunku do liczby przedstawień.

Ale bo też komedja „Wicek i Wacek" ma nietylko tę zaletę, że zapełnia wieczór teatralny w sposób nadzwyczaj zajmujący, jest ona co więcej prawdziwem zjawiskiem w naszej literaturze dramatycznej, od kilku lat ostatnich owianej dziwnym, chorobliwym pessymizmem, przedstawiającej widzowi postacie zepsute, złe, indywidua złamane, jako główne i przeważające typy naszego społeczeństwa. Najpobłażliwsi już autorowie, jeśli nie kreślą typów na wskróś zatrutych, nie mogą przecież powstrzymać się od tego, ażeby pierwiastków dobrych nie przedstawić jako słabych i uosabiają je w postaciach nieudolnych, często głupich poczciwców.

Nie wchodzić nam teraz w powody, które wyrodziły ten dziwny kierunek w literaturze naszej dramatycznej, ale skonstatować należy, jako nie jest on oparty na realnej obserwacji życia, a tem samem autorowie, którzy w nim idą, chybiają zupełnie swego posłannictwa, określonego pięknie zaklęciem naszego — choć tak w pessymizmie wielkiego — wieszcza, że „nie mają tracić nadziei, ale nieść przed narodem oświaty kaganiec".

Jakżeż oni bowiem oświecają nasze społeczeństwo, jakżeż każą nam o nas samych wyrabiać wyobrażenie, a wszakże to jest zadaniem literatury a głównie teatru?

Przedstawiają nas jako towarzystwo zadłużonych okpiszów, hołyszów, pragnących życia i używania bez trudu. To na polu społecznem.

Pod względem etycznym jesteśmy albo wyzuci zupełnie z charakteru, albo zupełnie anemiczni: sprzedajemy siebie i nasze córki za — jakąbądź cenę, byle cenę. Patrz „Przed ślubem" „Rozbitki" „Optymiści", że nie wspominam już o całym szeregu mniej lub więcej udatnych — pod względem scenicznym — prób na polu komedji społecznej, której ostatnim wytworem w tym guście są słynni „Bracia Lerche" Asnyka.

Dziwnie się złożyło — dziwnie i bardzo szczęśliwie — że zaraz po „Braciach Lerche" które tak deprymujące robią wrażenie, przyszli „Wicek i Wacek" jakby żywe, a tak prawdziwie zaprzeczenie niezdrowej, niemożliwej tendencji, bijącej z utworu cenionego skądinąd pisarza.

Ale wysłuchajcie przedewszystkiem treści komedji „Wicek i Wacek." Mamy przed sobą rodzinę Żymalskich, uosobienie wszelkich cnót obywatelskich i chrześcijańskich, w której to rodzinie tylko synalek, chłopak poczciwy ale lubiący się za wiele bawić, jest poniekąd żywiołem rozkładowym. Hulając w mieście doprowadza do ruiny skromną zresztą fortunę swoich rodziców. I mienie polskie, imię polskie poszłoby z hukiem korka ostatniego szampana, gdyby w czas jeszcze nie zjawili się dwaj bracia Wicek i Wacek, młodzi hreczkosieje, poczciwi figlarze, nawiasem mówiąc po mistrzowsku z niezwykłą werwą i humorem, a prawdziwie nakreśleni. Wacek oddawna kocha siostrę utracjusza Helenę, córkę Żymalskich, ale z uczucia tego sam nie zdaje sobie dokładnie sprawy, owszem z całą naiwnością dobrego serca spowiada się ze swoich awanturek przed nią i przyrzeka poprawę, a dopiero kiedy niespodzianie przychodzi wiadomość, że niejaki Faust, spekulant, który ma apetyt na własność Żymalskich, wykupił weksle ich synka utracjusza, przemawia serce Wacka głośno nie słowem, ale czynem.

Scena, w której obaj bracia postanawiają ocalić Żymalskich, jest tak znakomicie nakreśloną, tak prawdziwie, że od łez wstrzymać się niepodobna.

Tak więc wszystko kończy się pomyślnie, dzięki reakcji pierwiastków dobrych, uczciwych, z łona naszego własnego społeczeństwa występujących.

A teraz porównajcie tę treść i bijącego z niej ducha z treścią istotną komedji „Bracia Lerche." Uderzające podobieństwo fabuły, które stwierdza prawdziwość przysłowia francuskiego, o spotykaniu się umysłów wyższych; podobieństwo, które zresztą wskazuje, że społeczeństwo nasze w kwestji ratowania mienia, ojcowizny, musi w autorach dramatycznych, których utwory najszybciej się popularyzują, znaleźć pedagogów: podobieństwo to mówimy, ułatwi nam porównanie. A jakże odmiennie rozwiązują dany temat obaj autorowie.

Jeden, Asnyk, za pomocą kombinacji z pierwiastkiem nam obcym, wprost antypatycznym ratuje sytuację, drugi w łonie nas samych znajduje żywioł dodatni, szlachetny. I zapytajmy, a odpowiedzmy szczerze na pytanie, czy kombinacja w komedji Asnyka, nie jest wyjątkową, czy nie zdarza się taki wypadek jeden na dziesięć tysięcy, i czy nie tysiąc kroć prawdopodobniejszą, a w ogóle prawdziwszą jest kombinacja, którą przyjął autor „Wicka i Wacka". Przez Asnyka musimy zwątpić chyba o sobie zupełnie, i zdać się na łaskę losu, któremu raz na sto lat spodoba się rzucić między nas kochającego nas Niemca, i zdać się na wszystkie tego Niemca humory i przyjąć jeszcze możliwość, że z czasem w jego duszy niemieckość obudzi się na nowo; utwór p. Przybylskiego uczy nas, że powinniśmy w sobie samych szukać ratunku i pomocy, i że go znaleść możemy, a nie wątpię, że sama ta komedja na niejednego podziała zbawiennie i w niejednym dworku ukaże się taki poczciwy Wacek, który będzie aniołem zbawienia. Oto niesłychana wyższość pedagogiczna utworu p. Przybylskiego nad utworem Asnyka.

Zalet zresztą pod względem scenicznym ma „Wicek i Wacek" mnóstwo: humor, werwa, zręcznie pomyślane sceny, wyborny rysunek charakterów, oto zalety, które każą zapominać zupełnie o drobnych usterkach, które łatwo usunąć można.

Dziwi mnie niesłychanie, że prasa, szczególnie zaś wasza galicyjska, która z powodu „Braci Lerche" narobiła takiego hałasu, wynosząc ten i pod względem scenicznym słaby utwór pod niebiosa, że ona nie zwróciła uwagi na „Wicka i Wacka" i nie podniosła jego zalet ogromnych.

Przypuszczam, że albo ich nie dostrzegła, albo — co stokroć byłoby gorzej — zamilczeć na śmierć je chciała.

Tymczasem nasza Warszawa zrozumiała doskonale intencje autora, który przed oczyma tylu tysięcy ludzi przesunął obraz najszlachetniejszą tendencją bijący, o kolorycie religijnym, chrześciańskim, obywatelskim prawdziwie. Młody autor zbiera laury powodzenia i uznania, a nawet *Przegląd tygodniowy*, który już nie jednego autora za użycie imienia Boga zmięszał z błotem, p. Przybylskiego nazwał z pewną rewerencją tylko „nieco za śmiałym, nieco za odważnym".

„Wicka i Wacka" przedstawiono już 20 razy z rzędu — a świeżo rozlepione afisze dyrekcji teatru „Alhambry" zapowiadają jeszcze całą serję przedstawień tej komedji, mianowicie przez 25 wieczorów z rzędu.

Myślę, że pismo wasze otworzy chętnie łamy swoje dla powyższych słów kilku, w których starałem się zwrócić uwagę na tak uderzające zjawisko w dziedzinie literatury naszej dramatycznej i na echo jakie znalazła tendencja „Wicka i Wacka" w łonie naszego społeczeństwa — echo również niezmiernie pocieszające.

Z nieustającej wystawy Zjednoczonego Tow. Przyj. Szt. P.

Towarzystwo nasze nie pomija żadnych środków, które mogłyby przecie raz rozbudzić w lwowskiej publiczności żywsze zainteresowanie się sztuką. Teraz np. sprowadził zarząd wystawy portret JE. Smolki wymalowany przez Canona przed trzema laty dla Izby poselskiej we Wiedniu, rzecz w istocie godną widzenia.

Canon, który z wielką dla sztuki szkodą zmarł niedawno, miał w całej Europie ustaloną sławę.

Jego utwory nie noszą piętna odrębnej jakiejś szkoły, którąby pozostawił jako spadek po sobie w malarstwie; nie wpada także od razu w oczy ogół tych cech charakterystycznych, któremi utwory Canona wyróżniają się od utworów tego lub owego pędzla.

Portret JE. Smolki posiada wszystkie zalety najlepszych dzieł wymienionego mistrza. Przyjrzymy się im po kolei.

W traktowaniu jest Canon idealistą, nie używa silnie zamarkowanych konturów, nie bawi się w drobnostkowość. Karnacja ma u niego niesłychanie wiele ciepła i na nią przedewszystkiem położony jest nacisk. Ta karnacja mistrzowska w połączeniu z rysunkiem miękkim, ale nie rozpływającym się we mgle, z modelacją plastyczną i (co już za tem idzie) z umiejętnem użyciem światłocienia, stanowi główne zalety obrazu — jak jeszcze raz powtarzamy: pod względem technicznym. Ale z poza ich osłony przebija się coś więcej, coś, co mieści w sobie istotną siłę Canona.

Postacie jego są pełne życia: widać że to nie manekiny, widać, że pod ich czaszkami mózg pracuje, że przez te oczy myśl w świat wybiega. Najtrudniejszą rzeczą dla portrecisty jest pochwycenie charakterystycznych znamion osoby; tego wyrazu, który zdradza całej jej „ja".

Canon znał się wybornie na sztuce takiego podchwytania i w portrecie JE. Smolki złożył także dowody wielkiego w tym kierunku mistrzowstwa.

Porównanie z Canonem może być dla każdego portrecisty niebezpieczne. Niechże nam wybaczy p. Pochwalski, jeśli przeciwko jego Szujskiemu podniesiemy kilka... zarzutów? Nie! właściwie p. Pochwalskiemu nie można nic zarzucić, bo i rysunek poprawny i koloryt harmonijny, pomimo jaskrawości i skrupulatność w szczegółach przewyższająca zaprawdę tę ma-

nierę, której się trzyma co do akcesorjów Canon.

Wszystko to należy przecie do przymiotów, raczej zyskujących dla artysty uznanie, niż narażających go na zarzuty. Ale przedewszystkiem p. Pochwalski za mało wlał duszy w portret; jego Szujski jest człowiekiem i to żywym człowiekiem, który o mało że z ram do nas nie [redacted] tyle razy obrobiony. — Snać na fantazję młodego artysty wpłynęły rozmaite reminiscencje; rzecz cała owiana jest duchem Siemiradzkiego, ale niestety nie ma ona ani tej głębokości myśli, ani tej świetnej formy, którą genjalny nasz ziomek zdradza w każdym utworze.

Walka toczy się nad morzem. Na wzniesieniu marmurowem, na samym jego brzegu, walczą dwaj gladjatorzy. Starszy, brodaty, z twarzą rozwścieklonego demona, już wziął górę nad młodszym i jeszcze chwila, jedno mgnienie oka, a pokonany runie w odmęty morza. W głębi po jednej stronie roztacza się widok skłębionej wodnej przestrzeni (oczywiście z dymiącym wulkanem, bo po czemże można by poznać pobliże Neapolu?), po drugiej stronie cezar i dwór przypatrują się walce.

Możnaby panu Strużyńskiemu odczytać całą litanję zarzutów. A więc: amfiteatr widzów urąga wymaganiom perspektywy, koloryt wody nie dość zręcznie został pochwycony, chmury zdają się być skontinowane z waty, a płomień w świeczniku ze słomy dołem na czerwono pomalowanej. — Potem, czy pan Strużyński rzeczywiście przypuszcza, że we Włoszech istnieją góry z farbki używanej do prania bielizny — farbki, która rozpuszczona w morzu nadaje i jemu to ultramarynowe wyglądanie?

Jeszcze ważniejszy zarzut odnosi się do osób z grona widzów; z wyjątkiem cezara — to same lalki. Wreszcie (choć oczywiście jest to nasze indywidualne zdanie) cała scena budzi pewien niesmak, bo owa ze zwierzęcą zaciekłością prowadzona walka, fakt wprost ujemny, potrzebuje dla złagodzenia czegoś dodatniego.

A jednak mimo wszystko nie możemy odmówić p. Strażyńskiemu niepoślednich zdolności. Grupa dwóch walczących, jest nakreślona z wielką energją, ma w sobie dużo ruchu; czuć niemal chrzęst kości pryskających w tym szatańskim uścisku. Muskulatnie, skrupulatnie wystudjowana, zdradza nietylko sumienną pracę artysty, lecz także talent: te mięśnie wyprężają się kurczowo, te żyły falują od krwi pędzonej roznamiętnieniem, trwogą, zaciekłością.

Na uwagę zasługuje także jeden drobny szczegół, jeden z widzów i cezar. Czy on patrzy na tych ludzi pasujących się z sobą i ze śmiercią? Nie, on... drzemie! Nerwy jego drażnione nieustannie, odmówiły już posłuszeństwa i dziś nawet widok tego, od czego innym oddech ustaje, a włosy się jeżą, nie zdoła go wyrwać — z drzemki.

Jest pewna filozoficzna tendencja po za tą zezwierzęconą postacią: krystalizuje się w niej świat starożytny, drzemiący w powolnem chylaniu się do przepaści...

Reasumując błędy i zalety „Gladjatorów", nietylko nie chcielibyśmy zrazić pana Strażyńskiego, lecz owszem zachęcić, bo żywimy przekonanie, że z czasem otrząśnie się on z pierwszych, a uzupełni i wzmocni drugie, czyli innemi słowy, chlubnie zaznaczy swą artystyczną działalność.

Niech tylko wskazówki słuszne, choćby nawet przykre, bierze w rachubę, niech ograniczy się na razie do rzeczy odpowiadających więcej jego siłom — a reszta przyjdzie sama z siebie.

J. Pf.

List do Redakcji.

Z Pokucia w czerwcu.

(Rozwój charakteru młodzieży).

Spotkał mię między innemi i ten zarzut, że nie wspominam o wyrobieniu charakteru u młodzieży, kiedy wyłącznem zadaniem wychowania ma być właśnie jego rozwój.

Żem raz mówiąc o wyborze przedmiotów nadobowiązkowych, zwrócił uwagę na rozwój charakteru a mianowicie na zaszczepienie w młodzieży stałości i wytrwałości w nauce raz wybranego sobie przedmiotu, to sobie przypomni każdy, kto moje listy czytywał, a więc rozwój charakteru obojętnym mi być nie mógł. Jednakże o rozwoju charakteru już u dzieci w szkołach wiejskich mowy być nie może, gdyż ja inaczej na wychowanie dzieci zapatruję się i nie mówiłbym o charakterze dzieci w ogóle. Charakter to coś męskiego i dojrzałego, więc dorastająca młodzież do samodzielnego życia sposobiąc się, ma w sobie rozbudzać samodzielną wolę.

Dzieci, a rozumiem przez to właściwie chłopców, woli własnej mieć nie powinny. Jak cała istota i całe postępowanie opierać się ma na posłuszeństwie starszym. — W starożytności doskonale rozumiano te zalety wieku chłopięcego i jedyną najważniejszą zaletą chłopców było: posłuszeństwo πειθώ. Dziś w dzieci wmawiamy, że są istotami samodzielnemi. Stąd młodzież nie jest karna, bo w dzieciństwie nie nauczyła się posłuszeństwa. Tylko ten będzie umiał, zdaniem Ksenofonta, dobrze rozkazywać, kto za młodu nauczył się słuchać. U nas słuchać chłopcy nie umieją. Do wszczepienia posłuszeństwa, trzeba ślepej, bezwiednej uległości starszym. — Gdybyśmy dzieciom dopiero usprawiedliwiać się mieli, dlaczego to lub owo czynić im rozkazujemy, trwonilibyśmy najpiękniejszą porę nauczenia się czegoś pożytecznego na bezpłodnem gadulstwie. Oj to gadulstwo szkoły nasze zabija! Rozumować można z młodzieńcem, młodzieńca przekonywać trzeba o użyteczności lub szkodliwości pewnego postępku; dzieciom się mówi: tak ma być i nic więcej. W starożytności przykładem i wzorem postępowania starszych wszczepiano młodszym cnoty posłuszeństwa — wstrzemięźliwości — sprawiedliwości — nie gadatliwemi naukami. Więcej znaczenia i wpływu ma jednorazowy przykład, niż całoroczna nauka. Niemcy już powiedzieli: *Mehr gilt ein tagelanges Beispiel als jahrelanger Unterricht.* Dlatego też, gdyby szło o rozstrzygnięcie pytania, czy można kogo moralności nauczyć książką czy heblem to jest nauką rzemiosła czy gadatliwością, nie wahałbym się ani chwili z odpowiedzią: że szydłem i igłą t. j. nauką rzemiosła prędzej, skuteczniej, łatwiej nauczą się chłopcy moralności, niż gadatliwą nauką przechodzącą koło uszu, a nie trafiającą do serca. Jakiż dowód, że do serca trafiła choćby najgorliwsza nauka? — Trzeba lata czekać, nim się przekonamy, że nauka skutkowała w zastosowaniu moralnem. Przy

---

67)

UARDA.

Romans z dziejów starego Egiptu.

Przez

Jerzego Ebersa.

(Ciąg dalszy).

— Ja zaledwie raz odważyłam się spojrzeć w podwórze paraschity, tak byłam strwożona — rzekła Nefert. Ale głos jego dotąd brzmi w moich uszach.

— Tak brzmi okrzyk wojenny bohatera, przed którym drżą nieprzyjaciele! — zawołała Bent-Anat.

— Tak brzmi, zaprawdę! — odezwał się Rameri, który niespostrzeżenie wszedł do komnat siostry, w mroku wieczornym pogrążonych.

Królewna obróciła się ku niemu i rzekła:

— Tak mnie nastraszyłeś!

— Ciebie? — zapytał królewicz zdziwiony.

— Tak, mnie! Dawniej miałam odwagę w sercu, ale od owego wieczoru wzdrygam się często i jakiś przykry lęk mnie ogarnia, sama nie wiem przed czem. To chyba jakiś demon mnie opanował.

— Ty panujesz, gdzie się tylko pokażesz, a nad tobą nic nie panuje! — zawołał Rameri. — Tylko w członkach twoich pozostały jeszcze ślady wzruszenia i oburzenia, których doznaliśmy w dolinie i na schodach nad Nilem. Mnie jeszcze same zęby zgrzytają, gdy sobie przypomnę, jak mnie ze szkoły wypędzali, albo jak Paaker psa szczuł na nas.

— Gdzieś ty był tyle czasu?—zapytała Bent-Anat — wszak wuj Ani nie kazał ci opuszczać pałacu.

— Ja w przyszłym miesiącu skończę lat ośmnaście—zawołał królewicz—i nie potrzebuję żadnego opiekuna.

— Ależ ojciec!... upominała Bent-Anat.

— Ojciec — przerwał Rameri — nie zna namiestnika. Ale ja mu napiszę, co słyszałem od ludzi. Oni po prostu Aniemu podczas uroczystości Talesa hołd składali i jawnie opowiadają jeden drugiemu, że Ani zmierza do tronu, a króla strącić z niego zamyśla. Masz słuszność, to jest szaleństwo, ale musi w tem być coś prawdy.

Nefert pobladła, a Bent-Anat zaczęła się wypytywać o szczegóły.

Królewicz opowiadał co słyszał, a potem rzekł ze śmiechem:

— Ani chce strącić z tronu ojca! — To tak, jakbym ja chciał gwiazdę Izydy zdjąć z nieba, żeby nią zapalać lampy, których tu jeszcze nie ma.

— Ja bo wolę tak pociemku — rzekła Nefert.

— Nie, niech przyniosą światło — odrzekła Bent-Anat. Lepiej się mówi, gdy temu, z kim się rozmawia, w oczy patrzyć można. Ja nie wierzę w te gadaniny, ale masz słuszność, trzeba ojcu o tem donieść.

— Co ja się tam w mieście umarłych nasłuchałem—rzekł Rameri.

— Jakto, aż tam byłeś? Jakże to nierozsądnie z twojej strony!

— Byłem znów trochę przebrany i mam ci dużo dobrych rzeczy opowiedzieć. Piękna Uarda ma się lepiej. Odebrała twoje podarki i mieszka znów we własnym domu. Obok spalonej, stała druga opuszczona chata, którą ojciec jej, brodaty żołnierz, tak do niej podobny, jak jeż do gołębia, z kilkoma towarzyszami swymi na poczekaniu odbudował. — Proponowałem jej, żeby wraz z innemi dziewczętami za dobrą zapłatę w pałacu dla ciebie pracowała, ale ona nie chciała, bo musi pielęgnować starą i chorą babkę, a przytem dumną jest i nie chce nikomu służyć.

— Pokazuje się, że dość długo u nieczystych bawiłeś—rzekła z wyrzutem Bent-Anat.—Myślałam, że to, co mnie spotkało, tobie za przestrogę posłuży!

— Ja nie chcę być lepszym od ciebie—zawołał królewicz. A zresztą paraschita umarł, a ojciec Uardy jest uczciwym żołnierzem, który nikogo zanieczyścić nie może. Od starej trzymałem się zdaleka. Jutro znów tam pójdę; przyrzekłem jej to.

— Komu?—zapytała Bent-Anat.

— A komużby jak nie Uardzie? — Ona lubi kwiaty, a od czasu owej róży, którąś jej ofiarowała, nie widziała żadnego. Kazałem już ogrodnikowi, żeby mi na jutro koszyk róż przygotował i zaniosę go sam.

— Tego nie zrobisz! — zawołała Bent-Anat. — Ty jeszcze jesteś napół dziecko, ale choćby przez wzgląd na tę dziewczynę, zaniechaj tego.

— My tylko rozmawiamy z sobą — rzekł rumieniąc się królewicz — a nikt mnie nie pozna. Zresztą, jeśli tak uważasz, to dam pokój różom i sam pójdę do niej. O, tego mi już nie wyperswadujesz! Ona taka ładna, taka biała, taka delikatna, a głos jej brzmi tak mile i miękko. — A nóżki ma takie—jakby to powiedzieć—tyle co ręka Nefert, a jakie zgrabne! Najwięcej mówiliśmy o Pentaurze. Ona zna jego ojca, który był ogrodnikiem, i dużo wie o nim. Uważasz, ona mówi, że poeta nie jest dzieckiem swoich rodziców, tylko dobrym duchem, który zstąpił na ziemię, a może nawet bogiem. — Z początku była bardzo strwożona, ale gdym zaczął mówić o Pentaurze, zaraz się ożywiła! Ona ma dla niego cześć prawie bałwochwalczą i to na mnie przykre robiło wrażenie.

— Wolałbyś, żeby ciebie tak czciła—uśmiechnęła się Nefert.

— Wcale nie! — zawołał Rameri. — Ale ja ją wraz z nim uratowałem, a tak mi dobrze,

nauce rzemiosł zaraz w tej chwili przekonamy się, jaki owoc wydała nauka, bo naocznie zobaczymy, czy uczeń korzysta i postępuje w pracy ręcznej i czy oszczędza grosz zapracowany. — Zarzucono mi, żem nic nie przytoczył z dzieła „o samopomocy“ Smillesa. Owszem przytoczyłem, co kwintesencją dzieła stanowi: „Tylko głodny jest zły“. Naukami moralnemi i teoretycznemi głodu nie zaspokoisz. Rzemiosło natomiast zaspokoi wszystkie twoje potrzeby, nie pozwoli ci być głodnym, a więc uczyni cię moralnym i dobrym. W ten sposób hebl i szydło więcej przyczynia się do rozbudzenia moralności, niż całe księgi moralne, których albo nie rozumiesz, albo co gorsza rozumiesz fałszywie. — Trzeba być raz otwartym.

Powiastki opowiadane w szkole chłopcom, mające służyć do rozbudzenia moralności, owe tkliwe, sentymentalne bajki, pięknie zmyślone i urojone kłamstwa, są tak nienaturalne, że obudzają ciekawości tyle, ile arabskie powieści „z tysiąc nocy i jednej“, ale są nieprawdopodobne, tyle odnoszą skutku, ile owa rosyjska anegdota, gdzie chłopiec pewien wychwalał: ach, jak słodkie gęsie łapki! Drugi go pyta: A tyś jadł je kiedy? Tamten odpowiada: Nie jadłem, ale mój ojciec widział, jak panu we dworze smakowały nadzwyczajnie łapki gęsie. Stąd wniosek, że muszą być smaczne!

Jota w jotę czemś analogicznem są powiastki w czytankach szkół ludowych, że ktoś, coś kiedyś zrobił dobrego lub zawinił, ale mnie to ani ziębi, ani grzeje!

Powiedziałem był raz, że nasze dzieci, to istne filozofy; badają, krytykują, rozumują. Sądzić, oceniać, wyrokować, to są rzeczy dojrzałych ludzi. U dzieci, raczej chłopców jedynie pamięć rozwijać się winna— niech rozumują starsi. Nasze ludowe szkoły wręcz niewłaściwie postępują. Ponieważ za młodu rozumują, kiedy jeszcze rozum nierozwinięty, stąd to pochodzi, że w młodych głowach snują się niewłaściwe teorje, oparte na słabych, niedojrzałych przestankach.

Że między rzemieślnikami najwięcej anarchistów, to nie rzemiosło temu winno, ale nauka teoretyczna niewcześnie i niewłaściwie im udzielana. Średniowieczny mędrzec Spinoza powiedział: Nauka płytko zaczerpnięta, oddala od Boga, nauka zgłębiona do gruntu, z Bogiem nas jedna i łączy. Otóż taką płytko zaczerpniętą nauką, jest nauka teoretyczna naszych rzemieślników. Lepiej, żeby jej wcale nie mieli, niż, że ją zdobyli powierzchownie. Ze rzemieślnik nauczył się trochę czytać i pisać i czytuje gazety najradykalniejszej barwy, stąd smakuje w ich tendencjach. Gruntownej wiedzy naukowej ekonomicznej od rzemieślnika żądać trudno; natomiast słuszna jest, aby rzemieślnik miał wiedzę fachową najwyższą, aby był artystą w swoim zawodzie; będąc zaś artystą, zajmie się duszą i ciałem fachem swoim, czytywać będzie swoje fachowe dzieła, a nie przewrotne pisma, które go odrywają od jego zawodu, obudzają w nim niesmak do życia, oburzenie na stan społeczny.

Szkoły ludowe nietylko u nas, ale w ogóle w całej Europie, nie odpowiadają memu przeznaczeniu, zamiast obudzić zadowolnienie ze swego stanu, odrywają od zajęć rodzicielskich, wskazują daleko idące pragnienia, wywołują niechęć do stanu włościańskiego, pogardę do zajęć włościańskich, pragnienie wydobycia się ze stanu pogardzonego, dążenie do czegoś wyższego, szanowniejszego, bo dostarczają opisów, że w innych stanach lepiej, wygodniej się żyje, że „stan chłopka maluczki, wzgardzony“, a więc powiedzmy prawdę, choćby mnie znów za szalonego okrzyknięto — szkoły z tego względu demoralizują młodzież wiejską, bo wywołują niezadowólnienie u młodzieży. Czyż to się nazywa wyrobieniem charakteru? Nie! to są wpływy destrukcyjne.

Redakcja waszego pisma zrobiła bardzo trafną uwagę do listu, zdaje mi się z Brzeżan, „że szkoły ludowe dają poznać jedynie nędzę i biedę“, a tem samem oczywiście obudzają obrzydzenie do tej nędzy i biedy; nie dają zaś sposobu zapobieżenia tej nędzy i biedzie, a co gadają o pracy i oszczędności, to ulatuje z wiatrem, bo nie oparto na podstawie konkretnej, na rzemiośle, na podstawie którego jedynie rozwijać można charakter konkretny. Inaczej szkoły są fantazja, demoralizacja.

Owóż szkoły właśnie dzisiejsze, jednostronne, prowadzą do wywrotów społecznych.

KRONIKA.

Dar. Najj. Pan udzielił z prywatnej swej szkatuły gminie Bouszów w powiecie rohatyńskim, na dokończenie budowy cerkwi, zapomogi w kwocie 100 zł.

Kraszewski. Korespondent rzymski *Gazety Warszawskiej* donosi, że Kraszewski przebywa obecnie w Schinzenach w Szwajcarji u dra Tymowskiego i w bieżącym miesiącu ma powrócić do San Remo. Następnie nestor literatów naszych zamierza podobno zamieszkać we Florencji, gdzie ma nabyć na własność małą willę. We Florencji, jak wiadomo, przebywa także stale Lenartowicz, tak więc w jednem mieście włoskiem jednocześnie przebywać będą najstarszy z beletrystów i najstarszy z poetów naszych.

Akwarelę Kossaka, przedstawiającą scenę z „Potopu“ Sienkiewicza „Kmicic porywający Oleńkę“ nabył na wystawie warszawskiej pan Heinzel z Łodzi za 1200 rs.

Rada miejska. Posiedzenie Rady miejskiej odbędzie się jutro we czwartek o godzinie 6 wieczorem. Ze spraw główniejszych są na porządku: Odstąpienie gruntów miejskich pod trasę kolei lwowsko-bełzeckiej (uchwała druga w tej sprawie, wymaga ona obecności co najmniej 50 członków Rady), dalej najem realności p. Brykczyńskiego na szkołę im. Czackiego, budowa szkoły im. Konarskiego, wniosek w sprawie utworzenia nowej szkoły 4-klasowej żeńskiej i wniosek o utworzenie 6 klasy w szkole ludowej im. św. Antoniego, oraz sprawa założenia odrębnej szkoły ludowej ruskiej. Następnie: udzielenie kredytu na przyjęcie członków tegorocznego walnego zgromadzenia leśnego, drobniejsze sprawozdania administracyjne i sprawy rekursowe.

O hr. Merveldt, nowomianowanym prez[...]cie dla Szląska, czerpiemy z dzienników następujące szczegóły biograficzne:

Franciszek Karol Ferdynand hrabia Merveldt urodził się w r. 1844 z ojca Maksymiljana i matki Oktawji z domu Czernin Chudinec. — Zmarły w r. 1849 ojciec teraźniejszego prezydenta był ck. podkomorzym, jenerałmajorem i najwyższym ochmistrzem arcyksięcia Franciszka Karola

W bardzo młodym wieku ukończył hr. Merveldt studja prawnicze, a w roku 1866 widzimy go już w namiestnictwie w Wiedniu poświęcającego się ad-

---

gdy przy niej siedzę; jutro, tak już sobie postanowiłem, sam wetknę kwiatek w jej włosy.— Wprawdzie te włosy są czerwone, ale tak bujne, jak twoje Bent - Anat, i wyobrażam sobie, jakaby to była rozkosz trzymać je w ręce i głaskać!

Kobiety popatrzyły na siebie i królewna rzekła stanowczo:

— Nie pójdziesz jutro do miasta umarłych, mój pupilu!

— Zobaczymy, łaskawa opiekunko.

Te słowa wymówił żartobliwie, ale potem zaraz spoważniał i rzekł:

— Widziałem się także z kolegą moim szkolnym Ananą. W domu Seti dzieje się niesprawiedliwość: Pentaur siedzi w więzieniu, a wczoraj wieczór go sądzili. Wuj był przytem i gwałtownie na Pentaura nastawał, ale Ameni miał go wziąć w obronę. Na czem wkońcu stanęło, uczniowie nie mogli się dowiedzieć, ale musi być coś złego, bo syn podskarbiego słyszał, jak Ameni po posiedzeniu mówił do Gagabu: „Na karę zasłużył, ale zgubić go nie dam!“ To się tylko do Pentaura mogło odnosić. Jutro pójdę i dowiem się więcej, zapewne coś strasznego. Kilka lat więzienia co najmniej.

Bent-Anat pobladła mocno.

— A to wszystko będzie cierpiał dla mnie! — zawołała. — O wszechmocni bogowie, wspomóżcie go, wspomóżcie mnie i zmiłujcie się nad nami!

Zakryła twarz rękami i opuściła komnatę, a Rameri zapytał Nefert:

— Co się siostrze mojej stało?... Taka mi się jakaś dziwna wydaje! A i ty inaczej wyglądasz niż zwykle!...

— Cbie znajdujemy się w nowem położeniu...

— Cóż to znaczy?

— To się nie da wytłómaczyć, ale zdaje mi się, że i ty niebawem czegoś podobnego na sobie doświadczysz. Nie chodź więcej do paraschity, Rameri!

II.

Nazajutrz wczesnym rankiem szedł karzeł Nemu z jakimś człowiekiem w długiej skromnej szacie, wyglądającym na ochmistrza zamożnego domu. Szli około odbudowanej chaty ojca Uardy, w której niegdyś żołnierz z żoną swoją mieszkał, a zmierzali ku jaskini starej Hekt.

— Tutaj, tutaj, dostojny panie — odezwał się karzeł; — racz poczekać chwilkę, tylko cię matce mojej zameldnję.

— Ho, ho! co za ceremonje, proszę! Ale mniejsza o to! — odrzekł drugi. — Tylko jedna rzecz! Niech mnie stara ani z imienia, ani z tytułu nie wymienia! Niech mi mówi „ochmistrzu“, bo to nigdy nie można wiedzieć... chociaż zdaje mi się, że w tem przebraniu nikt mnie nie pozna.

Nemu pospieszył do jaskini, przed którą zastał swoję matkę.

— Proś, proś tego pana, poznałam go zaraz! — wołała już zdaleka.

Nemu położył palec na ustach i rzekł:

— On chce, żebyś go nazywała ochmistrzem.

— Dobrze, dobrze — mruknęła stara. — To tak, jak struś, co schowa głowę pod skrzydło i myśli, że go nikt nie widzi.

— Cóż, czy królowicz długo jeszcze był u Uardy?

— Nie, głupcze — zaśmiała się czarownica.— Dzieci zwyczajnie bawią się ze sobą. Rameri, to młody baran, który jeszcze nie ma rogów, ale czuje już miejsce, w którem mu one wyrosną i zawczasu używać ich probuje. Pentaur może być dla ciebie niebezpieczniejszym przy tym czerwonym łebku. No, ale wracaj, takim wielkim panom nie można kazać długo czekać.

Stara dała karłowi kułaka, a on pobiegł po Aniego, podczas gdy ona małego Szerau, na desce jak zwykle przywiązanego, wniosła do jaskini i brunatny worek na niego rzuciła.

W kilka minut potem namiestnik stanął przed nią.

Powitała go ukłonem, który raczej śpiewaczkę Beki niż czarownicę Hekt przypominał i poprosiła go, aby usiadł na jedynym stołku, jaki posiadała.

Gdy machnięciem ręki oznajmił, że nie chce usiąść, rzekła:

— Ale siadaj, siadaj. Z doliny nie widać cię tutaj, z powodu tej oto skały. Dlaczego taką godzinę obrałoś na swoje odwiedziny?

— Bo to, o czem z tobą chcę pomówić, jest pilne, a wieczorem straż mogłaby mnie poznać. Mam na sobie dobre przebranie. Pod tą szatą mam drugi, zwyczajny ubiór. Stąd pójdę do grobu moich przodków, pozrzucam to wszystko z wierzchu i poczekam na mój wóz, któremu zajść kazałem. Ludziom powiem, iż zrobiłem ślub odwiedzić grób piechotą i w pokorze.

— Dobrze obmyślane — mruknęła stara: ale Ani wskazał na karła i rzekł uprzejmie:

— To twój uczeń wymyślił!

Od czasu owego opowiadania stara przestała być dla niego prostą czarownicą.

Stara zrozumiała to zaraz i skłoniła się tak przyzwoicie i z godnością, że oswojony kruk siedzący przy jej nogach tak się tem zdziwił, że otwarł szeroko czarny dziób i wrzasnął przeraźliwie. Ona rzuciła mu kawał sera, a ptak poskoczył na bok, wlokąc za sobą złamane skrzydło i zamilkł.

— Chcę z tobą pomówić o Pentaurze — rzekł Ani.

Starej oczy zabłysnęły i zapytała żywo:

— O cóż to chodzi?

(C. d. n.)

ministracji politycznej. Po wielu latach służby przy rozmaitych urzędach niższoaustrjackich zamianowany został w roku 1876 sekretarzem w namiestnictwie w Styrji. W następnym roku jako zastępca starosty fungował w jednem z miast salcburskich, a w roku 1878 mianowany starostą powołany został następnie do Leoben w Styrji.

Od roku 1881, kiedy podniesiony został do godności radzcy rządowego w Celowcu, awansuje już szybkim krokiem, bo przeniesiony w roku 1884 w charakterze radzcy dworu do rządu krajowego w Salcburgu, a z początkiem roku bieżącego mianowany radzcą dworu w namiestnictwie w Gracu, powołany został obecnie z tej posady na prezydenta Szląska.

Kolonje wakacyjne. Trzeci wykaz składek na rzecz kolonij wakacyjnych: Dyr. Walenty Kozioł od grona nauczycieli czwartego gimnazjum 27·41, Stefanja Wekslerowa z jarmarku w ogrodzie miejskim 4 zł. (i ubiory dziecięce wartości 16 zł.), ks. Jan Stopczyński, dyrektor szkoły PP. Benedyktynek, z listy składek 18 zł.; dr. Karol Maly 10 zł., starościna Kosińska 5 zł., dyr. Marja Tychowska 4 zł., dyr. Walenty Kozioł ze składek dodatkowo zł. 2·62, ks. Hieronim Niemczynowski z listy składek 8 zł., dyr. Franciszek Szpetmański z listy składek zł. 6·60, strzelec w restauracji N. Töpfer 4·68, strzelec w restauracji p. Stadtmüllera 1·30, Juljusz Mikolasch z listy składek 30 zł., opłata od ucznia W. 20 zł., Stanisław hr. Skarbek z listy składek 15 zł., dyr. Walenty Kowalówka z listy składek 11·76, dyr. Adela Dawidowska z listy składek 6·30, Eufrozyna Wassilko z listy składek 3·50, dyr. gimn. w Brzeżanach M. Kurowski z listy składek 3·40, dyr. Jakób Czapelski z listy składek 4·35, dyr. Walenty Kozioł dodatkowo 12·76, opłata od uczennicy H. 20 zł. — Razem zł. 218·68.

Poprzednio wykazano zł. 998·82, ogółem więc wpłynęło po dzień 5 mb. 1217 zł. 50 ct.

Podań o przyjęcie do kolonji wakacyjnej wpłynęła znaczna ilość, a biedne schorzałe dziatki o wyblakłej, a woskowatej cerze twarzy, o zapadłych w głąb oczach, o zwężonych piersiach, oczekują z upragnieniem rezultatu swej prośby. Fundusze — jak wyżej wykazano — nie mogłyby wystarczyć na wysłanie znacznej liczby dzieci; liczymy jednak, że ludzie dobrej woli, którym pomyślny rozwój naszego społeczeństwa leży na sercu, dostarczą jeszcze hojną ręką środków do osiągnięcia tak dobrego celu, tem bardziej tuszymy sobie, że jeszcze wielu list składkowych (które rozesłaliśmy uproszonym osobom już w maju rb.)dotychczas nie zwrócono.

Zarazem komitet z wdzięcznością podaje do publicznej wiadomości, że baron Czedik, prezydent jeneralnej dyrekcji kolei państwowych w Wiedniu, wyjątkowo zezwolił na przewóz kolonistów ze Stryja do Skolego, uwzględniwszy szczupłe fundusze i trudne położenie komitetu wobec klęski Stryja, a co najważniejsza, niemożność otrzymania podwód ze Stryja do Huty korostowskiej, — za co niech nam wolno będzie złożyć na tem miejscu serdeczne podziękowanie imieniem biednej dziatwy.

Komitet dla sprawy kolonij wakacyjnych.

Pożar w Starej wsi. Bliższe szczegóły pożaru w klasztorze OO. Jezuitów w Starej wsi, są następujące:

W sobotę, dnia 3 b. m., około godz. 9 zrana, wybuchł pożar w pralni klasztornej z przyczyny dotychczas niewiadomej. Wszystka czeladź klasztorna była wtedy już w polu, młodzież zakonna zaś używała rekreacji w pobliskich lasach biskupich. Pożar rozszerzał się nadzwyczaj szybko i objąwszy całe wnętrze pralni, zagrażał innym, bezpośrednio przylegającym budynkom gospodarskim, o które znowu opiera się ściana główna samego klasztoru. W istocie w kilka minut później, nie było już dla budynków gospodarskich żadnego ratunku Albo wiem płomień wdarłszy się do spiżarni zapasowej, znalazł tu niezwykle obfitą karm dla siebie, i szedł ogromnemi już strugami ku zapasom zboża i siana. Wkrótce też wystrzelił po nad dachy tych budynków i stał słupem tak wysokim, że wnet objął dachy na trzypiętrowym budynku samego klasztoru. Było to o w pół do dziewiątej.

W pobliskim Brzozowie spostrzeżono ogień natychmiast, a w 20 minut później tamtejsza straż ogniowa była już na miejscu katastrofy. Dwie doskonałe sikawki zajęły się tłumieniem płomieni, co było zadaniem nader trudnem głównie z powodu braku drabin. O tym czasie wrócili już wszyscy z pola i wycieczki, a wraz z Siostrami Służebniczkami przybyły tłumy ludu, z rękoma chętnemi do pracy dla ocalenia klasztoru — zajęto się energicznie ratunkiem ruchomości.

O godz. 11 runął dach na głównym budynku. Wtedy dwóch strażaków Szuba i Lorenc, wdarłszy się z narażeniem życia do wnętrza z wężem sikawkowym, utorowali innym drogę. Ugaszono wtedy ogień w klatce schodowej, następnie zajęto się zlokalizowaniem ognia.

Prawie równocześnie zawalił się dach na kościele klasztornym. Zdołano jednak zapobiedz wdarciu się ognia do wnętrza kościoła, skąd tymczasem wszystko cenniejsze wyniesiono. W klasztorze zatrzymał się ogień dopiero na przeszłowiecznych sklepieniach pierwszego piętra. Z cel uratowano sędziwych OO. Baworowskiego i Wawrzeckę.

Na razie schronili się Ojcowie do letniej swej wili pod lasem. Ksiądz prowincjał Jackowski przybył już na miejsce wypadku i zapewne zarządzi środki skuteczne, ażeby kolegjum starowiejskie, z którego od lat 63 wychodzili misjonarze i kapłani żarliwi, kaznodzieje słynni, powróciło do dawnego stanu. — Społeczeństwo nasze nie poskąpi na to ofiary.

Zawalenie się domu. Przez jakiś czas uciło o panu Filipie, którego imię stało się prawie synonimem łoskotu walących się we Lwowie kamienic, aż oto wczoraj zagrzmiało we Lwowie — choć była najjaśniejsza pogoda — zagrzmiało znowu, ale tym razem echo powtarzało już nie imię p. Filipa, lecz Wielmożnego Pana Karola Kisielki. W oficynach kamienicy p. Kisielki przy ulicy Halickiej pod liczbą 46 oddawna grożąca zawaleniem, runęły wczoraj zrana sufity. Na szczęście nikt nie poniósł większego szwanku, albowiem lokator zagrożonego pomieszkania p. Kostiuk introligator przewidując oddawna niebezpieczeństwo, rodzinę przeprowadził do innego mieszkania, a tylko warsztat introligatorski tutaj zostawił.

Cegły, spadając, raniły lekko jednego czeladnika w głowę. Komisja budownicza miejska zjawiła się niebawem na miejscu wypadku i zarządziła delożowanie całej tej części oficyn. Mieszkańcem budynku bezpośrednio do zawalonej części przylegającego jest p. Jan Lam, złożony od kilku lat chorobą tak, że nie opuszcza łoża. Teraz będzie musiał prawdopodobnie narazić się na wszelkie niewygody przenosin.

Jedno z pism zwraca uwagę, że kamienica ta należy do jednego z radnych miasta i stąd dziwi się, jak mogła ona dać tak zły przykład innym kamienicom, nie należącym ani do radnych miasta, ani do ludzi tak majętnych, jak p. Kisielka. My nadto zapytać musimy, co robiła komisja, która zajmowała się sprawdzaniem stanu budynków, po wypadku z panem Filipem, i dlaczego nie zarządziła w kamienicy p. Kisielki natychmiastowo środków bezpieczeństwa, zwłaszcza, że lokatorowie sami przestrzegali rządzcę tej kamienicy, pana dr. Srokowskiego, iż lada dzień się zawali.

Wynagradzana denuncjacja. W *Kurjerze Poznańskim* czytamy;

Donoszą nam z wiarogodnego źródła, że w pewnej szkole na prowincji, gdzie także zaprowadzono oddział niemieckiej nauki religji św., zaliczono do tego oddziału dwoje dzieci narodowości czysto polskiej — mimo protestacji rodziców, a mianowicie ojca, mającego czysto polskie nazwisko. Nie dość, że ojcu powiedziano, aby poszedł do Rosji, jeśli chce, aby dzieci jego uczyły się po polsku, lecz nadto zakazano dzieciom w ogóle mówić po polsku.

Skoro tylko które z owych dwojga dzieci odezwie się po polsku, inne donoszą o tem komu należy i za tę przysługę otrzymały już jedno dwa fenigi, drugie jeden fenig, trzecie jeden fenig. Pierwsze przyjęło tę nagrodę, drugie przyjęło, ale następnie oddało, a trzecie wcale nie przyjęło. Moglibyśmy służyć nazwiskami, ale zaczekamy aż do chwili, w której nas dojdzie protokół zajście te stwierdzający.

Z jakiego „fundnszu“ pochodziły owe fenigi, nie wiemy.

Z dziedziny plotki. Lwowski korespondent *Dziennika Poznańskiego* opowiada co następuje:

„P. Salomon Buber, handlarz zbożowy z Podwołoczysk, nabył dobra Łubiankę wyższą i niższą w powiecie zbaraskim, własność niegdyś hr. Stadnickich. Myślicie może, że przywitanie nowych dzie-

---

Mały Fejleton.

85.000 dolarów.

I.

Thomas W. F. Smitsohn, dzięki urodzeniu, był obywatelem Stanów Zjednoczonych, a dzięki zbiegowi okoliczności, kierownikiem wiekiej fabryki maszyn w Nowym Jorku.

Chłopakiem będąc, pracował on jako pomocniczy robotnik u firmy Anderson Brother i zwolna przez usilną pracę, jakoteż przez sumienność, dobijał się kolejno coraz wyższych stopni, aż wreszcie w 24 roku życia został naczelnym kierownikiem fabryk, duszą całego przedsiębiorstwa.

Thomas W. F. Smithson był to smukły, barczysty mężczyzna, miał rumianą zdrową cerę twarzy, turkusowo-niebieskie oczy, i podłużną brodę w formie podkowy, która obok starannie ogolonego zarostu nad górną wargą, czyniła go typem prawdziwego jankesa. Niezwykłe zdolności zawodowe i rzetelność, zjednała mu serdeczną sympatję Brothera, i rzeczywiście nic nie przedsiębrano w zakładzie bez porady Smithsona

Wobec młodego wieku naszego bohatera, mogłoby to się zdawać nieco dziwne, bo przecie budowa lokomotyw, motorów parowych i maszyn gospodarczych nie jest drobnostką, a przytem i to uwzględnić trzeba, że przeszło 2000 ludzi pracowało w fabrykach Andersona Brothera.

Pewnej soboty rano — Thomas F. W. Smithson, spędził całą noc na bilansowaniu książek, — owóż pewnej soboty rano przyszedł on z wyciągiem rachunkowym do swego szefa, który spojrzawszy na rachunek, wystawił natychmiast czek na 85.000 dorarów, płatny w banku Kentucky. Tyle właśnie potrzeba było tygodniowo dla opłacenia robotników firmy.

Mr. Anderson polecił następnie Smithsonowi, aby ze względu na wysokość kwoty, inkasował ją osobiście.

Thomas W. F. Smithson wsunął czek do portfelu, nakrył głowę kapeluszem, i wyszedł; wsiadł do omnibusu, który kursował między ulicą Nr. 55 a Wallstreet.

W owych czasach leżała ulica 55 jeszcze prawie na przedmieściu. O tramwajach nie było mowy; koleje, pędzące teraz po nad ulicami, kręciły się dopiero po mózgu wynalazcy; słowem niczego jeszcze tego nie było, co dzisiaj stanowi chlubę ,lub ozdobę Nowego Jorku. Wszak nie było nawet słynnego mostu Brooklynskiego.

Działo się to bowiem przed r. 1860.

II.

Zmieniawszy w banku czek Smithson, znowu wsiadł do omnibusu. Banknoty stanowiły porządny pakiecik, skutkiem czego portfel mocno zgrubiał.

Pan Smithson złożył go na kolanach, ujął w ręce, i oddał się marzeniom, które dzięki nieprzespanej nocy, dusznej atmosferze, gorącu i monotonnemu turkotowi, przeszły rychło w drzemkę. Nikt mu nie przeszkadzał; po lewej stronie siedziała jakaś również drzemiąca staruszka, po prawej nieznany mu jegomość, tak zagłębiony w ogromnej gazecie, że nie widać było jego twarzy.

Nagłe uderzenie omnibusu o kamień, zbudziło Smithsona.

Teraz dopiero spostrzegł, że nie drzemka, ale sen silny musiał go opanować. Spojrzał na kolana i śmiertelna bladość pokryła jego oblicze.

Portfel skradziono.

Nic nie pomogły wybuchy wściekłości nieszczęsnego Smithsona; portfel przepadł, jak kamień w wodę.

Trzeba było o tem zawiadomić szefa.

Anderson zmarszczył z początku brwi, i bystro spojrzał swemu urzędnikowi w oczy.

— Ha, — rzekł potem flegmatycznie — zręczny musiał to być złodziej... Uwiadomić policją. Tymczasem drugi czek.

Dobył księgi i spokojnie dodał:

— Jeżeli się pieniądze nie znajdą, to wciągnąć zgubioną sumę na pańskie c o n t o!

Naprożno policja przetrzęsła cały Nowy Jork; naprożno okradziony wyznaczył nagrodę 20.000 dolarów za wyśledzenie sprawcy kradzieży i sam za nim szukał. Nikt nie wiedział nic ani o złodzieju, ani o skradzionej sumie.

U schyłku drugiego dnia, postradawszy wszelką nadzieję, ogłosił Smithson we wszystkich nowojorskich dziennikach następujące ogłoszenie:

„Nieznajomy złoczyńca ukradł w ubiegłą sobotę w omnibusie kursującym między 55 ulicą i Wallstreet, portfel z 85.000 dolarów, które należą do firmy Andersona Brothera. Uwiadamiam złodzieja, że skradziona sama musi się dostać napowrót w moje ręce, najdalej do czwartku do godziny 9, gdyż w przeciwnym razie będę zmusony w łeb palnąć sobie. Więc pozostaje złodziejowi do wyboru, albo oddadć pieniądze, albo przyjąć na swoje sumienie śmierć uczciwego obywatela.

Thomas W. F. Smithson“.

Nieco uspokojony, wyczekiwał rezultatu tego anonsu.

III.

Czwartek nadszedł; złoczyńca się nie zgłosił.

Z największym spokojem zasiadł Smithson o godzinie 8-mej rano do biurka, napisał kilka listów, mianowicie do szefa, krewnych i przyjaciół, potem naładował pistolet i położył go obok siebie na stole. Zegarek wskazywał, że do dziewiątej brakuje jeszcze 20 minut.

Smithson zapalił cygaro, siadł na sofie, nogi oparł na biurku, aby w tej prawdziwie amerykańskiej pozycji czekać na hasło zegaru.

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę! — zawołał Smithson.

Jegomość, który wszedł mógł mieć lat 50 i był od stóp do głowy czarno ubrany.

— Mr. Thomas W F. Smithson? — zawołał.

— Yes, sir!

— Więc to pan niedawno w „Heraldzie“...?

— Yes, sir!

— I postanowiłeś pan...?

— Za trzynaście minut egzekucja będzie dokonana.

— Bogu dzięki, że się nie spóźniłem — zawołał obcy, ocierając pot z czoła. — Pozwól pan, że usiędę. Mam interes, który, jak mniemam, załatwimy.

— Masz pan 12 minut czasu, więc proszę się spieszyć.

dziców przez włościan było co najmniej obojętnem? Broń Boże! Gromady wystawiły u wjazdu do dworu bramę tryumfalną, przy której oczekiwała starszyzna gromadzka z miejscowym proboszczem katolickim na czele, przybycia pp. Buberów. Przy kopcach granicznych Łubiańskiego klucza otoczyła „pańskie“ powozy banderja parobczaków, i w otoczeniu tej honorowej eskorty wjechali nowi dziedzice do dóbr swoich, witani przemowami czułemi i okrzykami ludności. Odwdzięczając się za tak ostentacyjne powitanie darował p. Buber sto guldenów na ubogich w gminie „bez różnicy wyznania“.

Ów ksiądz klasyczny, który p. Salomonowi Buberowi hołdy czołobitne u bramy tryumfalnej składał, nazywa się Izydor Rajtarowski.

Miłe u nas nastają stosunki!

Krążą pogłoski, że niektórzy posłowie zamierzają zwoływać sejmiki relacyjne swoich wyborców, ażeby im zdać sprawę z czynności w Radzie państwa w ubiegłej sesji.

Pierwszym, który zapowiedział stanowczo zebranie wyborców w tym celu, jest poseł Bazyli Kowalski, jedyny reprezentant w Radzie państwa partji „twardych“ ruskich to jest moskalofilów. Ma on mandat z kurji włościańskiej okręgu wyborczego Żółkiew-Sokal-Rawa. W Stanisławowie zamierza znów wystąpić ze sprawozdaniem w obec wyborców z kurji wielkiej własności ziemskiej jeden z koryfeuszów stronnictwa „centrum“, Wojciech hr. Dzieduszycki — a to w duchu opozycyjnym przeciwko polityce dr. Grocholskiego. Będzie mu zaś kontrował na tem zebraniu jego wyborca w tym okręgu, drugi członek tego samego stronnictwa, poseł Abrahamowicz. Będzie to więc ciekawy turniej krasomówczy. Oby tylko rozruszać zdołał zaspaną naszę opinją publiczną!

W Krynicy bawią następni goście ze Lwowa: p. Giessberg z matką, p. Drexler Eugenjusz z synem, p. Loffler, p. Krzemińska Anna z córką, p. Błażejowska Aleksandra, p. Funkenstein, p. dr. Kalitowski Emil z żoną, p. Wehrn Wilhelmina i p. Bielańska Anna.

Policja lwowska. Na porządek dzienny — a raczej nocny — we Lwowie wchodzą obecnie włamywania się nocną porą do sklepów. Stają się one coraz to częstsze. W krótkim stosunkowo czasie okradziono w ten sposób sklepy p. Ehrlicha (skład broni), Bardasza (konfekcje) a wczorajszej nocy znowu dostał się złodziej do magazynu pp. Szayerów i sąsiedniego sklepu p. Rechena przy ulicy Karola Ludwika. W obu ostatnich wypadkach t. j. przy okradzeniu p. Bardasza i pp. Szayerów sprawca dostał się do wnętrza przez komin. Dał się zamknąć na noc w kamienicy, dorobionym kluczem dostał się przez komin do pieca kaflowego, rozbił jednę taflę i zabrał gotówkę z kasy podręcznej kilkadziesiąt guldenów w papierach, pozostawiając kilka złotych w monecie drobnej.

Analogiczny w obu wypadkach tryb postępowania sprawcy, każe domyślać się, że jest to jedna i ta sama osoba, widocznie jakiś specjalista, który dotychczas niewyłowiony jest postrachem naszych kupców. Słusznie narzekają oni, że go dotychczas nie schwytano, a ponieważ żale te są pod adresem naszej policji, więc ośmielimy się w tej sprawie powiedzieć słów parę.

Niezawodnie są w ustroju naszej służby bezpieczeństwa publicznego wielkie braki.

Między innemi, nikogo zaspokoić nie może taka uwaga w raporcie policyjnym, że „zakwestjonowano u znanego złodzieja X. Y. taki a taki przedmiot“. Uwaga ta udowadnia niestety tylko, że ów X. Y. „znany złodziej“ chodzi sobie długi czas swobodnie po Lwowie, zanim go przypadkowo schwytają i coś u niego „zakwestjonują“. Ale z drugiej strony należy uwzględnić okoliczność, że etat personalny naszej policji jest z roku 1850. Od tego czasu miasto prawie w dwójnasób wzrosło i rozrosło się, wymaga więc co najmniej dwa razy więcej sił policyjnych, szczególnie w dziale tajnych agentów, aniżeli poprzednio. Tymczasem wszelkie przedstawienia w tym względzie do władz centralnych czynione pozostają bez skutku.

Zatrzymuje się *status quo* i tem się dzieje, że nietylko służba policyjna jest co do liczby niewystarczająca, ale nawet ci ajenci, którzy są trzymani na bardzo ograniczonym etacie (ze względu na podrożenie wszelkich potrzeb życia) nie mogą oddawać się z całą gorliwością obowiązkom swego zawodu. Wiemy, że użalali się nieraz, a nawet kilkakrotnie zanosili petycję do rady państwa we Wiedniu o polepszenie bytu. Konieczną tedy jest rzeczą, ażeby władze wyższe, w pierwszym rzędzie c. k. Namiestnictwo nasze w sprawę tę wejrzeć raczyło. Inaczej bezpieczeństwo publiczne we Lwowie coraz to bardziej upadać będzie — aż raz go zupełnie nie stanie...

Dobra opinja. Jakiś pan Feldmann wydrukował „Obrazki z podróży“ w *Neue Züricher Zeitung*, w których, malując obyczaje w prowincjach naszych, wyraża się, że Polki przywykły przed jedzeniem wypijać kieliszek wódki, po obiedzie zaś palą namiętnie. Mężczyzni z wizytą wchodzą do salonu z cygarem. Wiele innych nadużyć w podobnym rodzaju nie uważa się tu za *unschicklich*.

Fałszywy apetyt miał kasjer *deutscher Volksbibliothek*, jak sądzić można z następującego zdarzenia, opisanego w *Orędowniku*. W grudniu r. z. zmarł w Poznaniu ś. p. Januszkiewicz, zapisując testamentem na „Czytelnie ludowe“ 200 talarów. Otóż ponieważ w testamencie nie było mowy o „polskich“ czytelniach, zgłosił się kasjer niemieckich czytelni ludowych do egzekutora ostatniej woli ś. p. Januszkiewicza z pretensją o 100 talarów, tj. połowy zapisu. Pomimo dowcipnych istotnie motywów, że ś. p. Januszkiewicz „miał niewątpliwie na myśli i niemiecką instytucję“ — apetyt pana kasjera nie mógł być zadowolnionym.

Przygoda cyklisty. Pan M., amator jazdy welocypedowej, udał się parę dni temu w grójeckie, w odwiedziny do znajomych. O pięć mil od Warszawy, pod wsią Jasieniec, pastuszkowie, ujrzawszy „kusego człowieka na maszynie“, poczęli bombardować p. M. kamieniami, z których parę skaleczyło cyklistę boleśnie. Dopiero po wyminięciu niebezpiecznej miejscowości zwolennik bicykla był w możności opatrzenia guzów i udania się w dalszą drogę. W taki to sposób nasi młodzi wieśniacy powitali apostoła nowego sportu..

Skuteczny środek dla pozbywania się przeciwników politycznych zastosowała partja radykalna w Forti. W dzień po wyborach, w których ważną rolę odegrało pismo umiarkowane *Provincia di Forti*, otruty został naczelny redaktor tegoż pisma, p. Gaetano Charini.

Korespondencja od administracji. *W. Panu A. S. w Nowejwsi poczta Łabowa.* Odbitki z „Uardy“ nie robiliśmy, bo wśród dzisiejszej stagnacji w handlu księgarskim sądziliśmy, że się to nie opłaci. Tymczasem teraz żałujemy tego, bo znakomita ta powieść tak się spodobała publiczności, że cała edycja byłaby rozchwytana. Jednakże moglibyśmy Panu zebrać komplet, jeżeli Pan sobie tego życzy. — Propozycja pańska, żeby drukować czy cały *Przegląd*, czy choćby tylko jego feljeton w formie książkowej, jest technicznie niewykonalną. Ale przecież *Przegląd* w teraźniejszym swym formacie nadaje się bardzo łatwo do oprawy. Numera, które się podarły lub poginęły, może Pan u nas nabyć i komplet swój uzupełnić, a tym sposobem stworzyć roczniki, które z czasem będą miały wielką bibljoteczną wartość.

WPani A. Wol..... w Rzepińcach p. Buczacz. *Przegląd* nie jest zaprenumerowany dla WPani. — Wysyłamy numera od 1 lipca i prosimy o przysłanie prenumeraty.

Szan. Zarząd dóbr Dz. poczta Tarnobrzeg. Prenumerata się skończyła z dniem 30 czerwca. — Ogłaszaliśmy już kilkakrotnie, że zniżenie ceny nie działa wstecz. Wysyłamy numera od 1 lipca i prosimy o nadesłanie prenumeraty.

WPan S. w Jezierzanach poczta Buczacz. Egzemplarz przeznaczony dla WPana szedł do Jezierzan. Piszemy na tamtę pocztę, aby nam odesłano, a WPanu wysyłamy tymczasem wszystkie numera od 1 lipca do Buczacza. — WPan nic nam nie jest dłużny.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 5. lipca.

(*Z.*) W Berlinie opowiadają sobie w sferach finansowych, że między dwoma braćmi Rotszyldami wybuchła długo tajona nienawiść i że dzisiaj jeden i drugi miljony łoży na to, aby pod bratem wykopać dołki. Dzięki tej walce nie powiodła się operacja z konwersją rosyjskich prjorytetów kolejowych, bo gdy jeden z braci w spółce z berlińskim bankiem dyskontowym i z Bleichröderem przedłożył rządowi rosyjskiemu ofertę, to drugi braciszek utworzył sobie co rychlej inne konsorcjum i wystąpił z inną ofertą, znacznie różną od tamtej. P. Bunge, rosyjski minister skarbu, znalazł się między sianem i owsem, nie wiedział, który napocząć i jak bajka każe, umarł z głodu, czyli cofnął się od konwersji. Bo trzeba wiedzieć, że konwersja szkodziła mocno interesom kapitalistów rosyjskich; wszak odtąd o cały jeden procent mieli mieć mniej dochodu z tych prjorytetów. Więc byli jej mocno przeciwni i wszystkich dokładali usiłowań, aby projekt konwersji spełzł na niczem. Ale car oszczędny nadmiernie, chciał gwałtem konwersję przeprowadzić. I gdyby był tylko jeden Rotszyld wniósł ofertę, byłaby niezawodnie przyjętą. Skoro jednak weszły dwie oferty, natenczas p. Bunge, nieskazitelny p. Bunge, wytłómaczył monarsze, iż musi studjować, która jest korzystniejszą. No — reszty dośpiewa sobie zapewne sam czytelnik. Pan Bunge będzie długi lata studjował.

Walka domowa między Rotszyldami trwa jednak dalej i jeżeli jeden z nich zakupił dajmy na to rentę węgierską i gra na jej haussę, to można być pewnym, że drugi wszystkie swe zapasy renty sprzedaje i urządza jej baissę. Słowem bracia biją się, a chociaż sobie zadają dotkliwe rany, to jednak pewno mniej je czują od ogółu śmiertelników, który wobec tej walki nie może żadnych kombinacyj snuć na przyszłość, gdyż w giełdowe operacje wszedł czynnik nieobliczalny — namiętność osobista i prywatna.

Tak sobie mówią w Berlinie, a ja za tę plotkę nie biorę na siebie żadnej odpowiedzialności. Zanotowałem zaś ją tylko dla tego, że dzisiejszy spadek papierów bankowych tłumaczono sobie na giełdzie wiedeńskiej jako jeden z epizodów walki w domu Izraela. Spadek ten nie był wielki, ale był z tego względu dotkliwy, że wszyscy byli przygotowani, iż wskutek wpływającej z kuponu lipcowego gotówki, nastąpi dziś haussa. Tymczasem była baissa — i tylko akcje kolei Karola Ludwika poszły o półtora guldena w górę na skutek pogłoski, że kolej ta zawarła kartel z południowo-zachodniemi kolejami rosyjskiemi. Renty prawie nie zmieniły swego kursu.

Z wiedeńskiego targu bydła. Na poniedziałkowy targ bydła rzeźnego przypędzono ogółem 3578 wołów; między temi galicyjskich i bukowińskich 1557. Spęd ogólny był o 134 sztuk mniejszy niż zeszłego tygodnia, a z Galicji i Bukowiny spędzono w porównaniu z zeszłym tygodniem o 113 mniej. — Z powodu obniżenia się ceny łoju targ był mało ożywiony. Ceny towaru przedniego spadły o 1 zł. 50 ct., średniego o 1 zł.

Płacono za woły opasowe galicyjskie po 51 do 57 zł., najprzedniejsze po 59 zł. za sto kilogramów wagi martwej.

Gazeta urzędowa ogłasza.

Licytacje niesporne:

W celu zabezpieczenia dostawy szutru na gościńce państwowe w zaleszczyckim okręgu budowniczym w latach 1887, 1888 i 1889 odbędzie się licytacja ofertowa w starostwie zaleszczyckiem dnia 15 lipca.

Dostawa na rok 1887 wynosi 3750 metrów w kwocie 13.276 zł.

W celu oddania w przedsiębiorstwo budowy wodnej regulacyjnej na Wiśle pod Dworami odbędzie się licytacja ofertowa 26 lipca w starostwie krakowskiem, c. f. 4610 zł.

Licytacje egzekucyjne:

W sądzie lwowskim 4 sierpnia, 15 września i 20 października realności l. 347 $^{2}/_{4}$ we Lwowie c. w. 3397 zł.;

16 września i 28 października realności pod l. 698 $^{1}/_{4}$ we Lwowie, c. w. 10.000 zł.;

15 lipca, 19 sierpnia i 23 września realności 336 m., c. w. 14.859 zł.;

w sądzie brzeżańskim 19 lipca i 9 sierpnia dóbr Hajworonka, c. w. 172.000 zł.:

w sądzie złoczowskim 2 sierpnia, 6 września i 11 października realności 215 i 216 w Złoczowie, c. w. 16.000 zł.

— Jestem William H. Mac Lellan szef bankowego domu Mac Lellan, Protkinson and Company.

Smithson ukłonił się.

— Mam córkę, — mówił gość dalej — ośmnastoletnie, bardzo piękne dziewczę. Jessy Mac Lellan czytała pański anons, ona to posyła mnie do pana. Należymy do sekty, która nie zezwala na samobójstwo.

— Rozumiem. Sądzisz pan, że potrafisz mi wyperswadować?

— Tak... Posłuchaj sir Smithson. Moja firma jest mała, lecz uczciwa. Zamyślamy ją rozszerzyć. W tym celu potrzeba nam zdolnego, młodego człowieka. Jesteś pan rzetelny... tego dowodzi wiadomy anons, z powodu głupiej pieniężnej sprawy nie powinien się strzelać człowiek tej, co pan miary. Byłoby to nierozsądkiem i tchórzostwem. Przyrzekłem mojej córce, że pana uratuję. Brak ci skradzionej sumy? Posłuchaj pan mnie, a jakoś to będzie. Daję ci kierownictwo całego interesu z płacą 5.000 dolarów rocznie, nie licząc w to 15% tantjemy. Po dziesięciu latach a może nawet prędzej pozbędziesz się wszystkich zobowiązań względem Brothera. Będziesz miał przyszłość zapewnioną. Nuże młodzieńcze, padaj ręką. Załatwione?

Thomas W. Smithson szepnął w odpowiedzi: — Załatwione.

Było to 2 minuty przed 9.

IV.

Szczęście sprzyjało młodzieńcowi. Po sześciu latach conto Smithsona u Brothera było wyrównane, a teraz niedoszły samobójca posiada ni mniej ni więcej, jeno 12 miljonów dolarów, żonę (ową prześliczną Jessy) i siedmiu chłopców podobnych do ojca, a zdrowych, jak orzechy.

Tylko jedno wspomnienie dotąd zamęca mu spokój.

Przed dwoma laty umarł jego teść. Obok testamentu pozostał po nim list do Smithsona, następującej osnowy:

„Przebacz mi synu! Złodziejem — byłem ja! Owych 85.000 dolarów, dały podstawy naszemu szczęściu.

William H. Mac Lellan.“

Henri Tessier.

Konkursa:

Na posadę nauczyciela religji dla uczniów obrządku rzym. kat. w gimnazjum IV we Lwowie, termin do 15 lipca;

celem nadania dwóch stypendjów z fundacji śp. Leona ks. Sapiehy po 500 zł. rocznie dla ukończonych akademików, pragnących nabyć głębszego wykształcenia w zagranicznych zakładach naukowych, termin do 2 sierpnia;

na posadę dyrektora artystycznego w Towarzystwie muzycznem w Krakowie, termin do 31 sierpnia;

na trzy udziały po 400 zł. z fundacji Probusa Piotra Włodzimierza Samsona Barczewskiego na utrzymanie i wychowanie w jednym z zakładów wychowawczych, we Lwowie trzech ubogich dziewcząt, sierót bez ojca i matki, Polek wyznania rzym. kat., termin do 1 września;

na dwie posady nauczycieli przy szkole realnej w Tarnopolu, na jednę posadę przy szkole realnej w Jarosławiu, na jednę posadę przy gimnazjum w Rzeszowie, na trzy posady nauczycielskie w seminarjach żeńskich i męskich, w Krakowie, Rzeszowie i Stanisławowie, i na jednę posadę w seminarjum nauczycielskiem w Tarnopolu;

na kilka posad asystentów pocztowych, termin do 26 lipca;

na posadę zarządzcy przy urzędzie pocztowym w Oświęcimie.

Poszukuje:

Sąd złoczowski Zygmunta Rodakowskiego, kurator dr. Wesołowski;

sąd tarnowski Apolonji Dołędziszowej, Katarzyny Czerwińskiej i Józefa Koniuszewskiego, kurator dr. Ringelheim; Apolinarego Dzwonkowskiego, kurator dr. Gałecki:

sąd stanisławowski Józfa Panceta i Ksawerego Madejewskiego, kurator dr. Katzenellenbogen;

sąd w Drohobyczu Jana i Rozalji Maksymowiczów, kurator dr. Popławski.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 7 lipca. Następca tronu z małżonką złożyli w południe pożegnalną wizytę ustępującemu z swej posady ambasadorowi francuskiemu Foucher de Careil i jego żonie, u których zabawili 20 minut. Wsiadając do ekwipażu, Następca tronu powtóre podał rękę ambasadorowi.

Tryjest 7 lipca. Doniesienia dzienników o znalezieniu piekielnej maszyny w zatoce Muggia są nieprawdziwe. Ekspertyza wykazała, że jestto mina probiercza z nienaładowanemi patronami i że nie mogła wywołać żadnego niebezpieczeństwa.

Londyn 7 lipca. Do godziny 5 wieczorem dnia wczorajszego wybrano 187 konserwatystów, 43 liberałów opozycyjnych. 88 Gladstonistów i 39 Parnellistów. Przy wyborze we wschodniej dzielnicy Edynburgu wyszedł z urny Buchanan (Gladstonista) pobiwszy znaczną większością (otrzymał 1439 głosów) swego przeciwnika Goschena.

Rzym 7 lipca. Wielkie manewry odwołano ze względu na niekorzystne stosunki zdrowotne.

Monachjum 7 lipca. Ks. regent w odpowiedzi na zbiorową dymisją ministrów podnosi z uznaniem zasługi gabinetu położone około interesów państwa i wypowiada ministrom pochwałę za dotychczasową działalność, a zwłaszcza za ich akcję w niedawnym tak ciężkim czasie. Wreszcie kończy tem, że nie chciałby być pozbawiony rady tak wypróbowanych mężów, lecz owszem wyraźnie życzy sobie, ażeby pozostali na dotychczasowych stanowiskach.

Czasopismo ministerjum wojny ogłasza nadanie 5 pułku szwoleżerów arcyksięciu Albrechtowi.

Tutejsza *Allg. Ztg* ogłasza telegram wysłany przez nowego właściciela tego pułku z Kuttenberg do księcia regenta. Telegram ten opiewa: „Głęboko wzruszony tym dowodem braterskiej przyjaźni, dziękuję z całego serca i dumny jestem z tego, że będę mógł się liczyć do składu armji bawarskiej“.

Dublin 7 lipca. Dnia 6 b m. napadły masy ludu irlandzkiego obozu na klub robotniczy i budynek oranżystów, usiłując drzwi wysadzić. Z wewnątrz odpowiedziano im strzałami. Jeden napastnik został zabity, a 36 rannych. Policja przywróciła porządek, przyczem uwięziła 100 osób. Lord-major w odezwie wzywa mieszczaństwo, aby wobec haniebnych zajść ubiegłej nocy współdziałało w celu utrzymania porządku i aby się nie dawało zachęcić do nielegalnych kroków. Winnych oddano w ręce sądów.

Paryż 7. lipca. Posiedzenie Izby deputowanych. Izba obradowała dalej nad dodatkową taksą do ceł zbozowych.

Po żywej debacie uznano nagłość 307 głosami przeciw 257. Głosowanie nad przyjęciem do debaty specjalnej odroczono do czwartku.

Dreyfuss przedkłada sprawozdanie o pożyczce miasta Paryża. Mimo sprzeciwiania się prawicy, Izba zarządza natychmiastową nad tym przedmiotem debatę. Cały projekt z poprawkami senatu przyjęto.

Przyjechali do Lwowa

dnia 7. lipca 1886.

Hotel Europejski: J. Łukasiewicz z Jezierzan. K. Zaleski z Rosji. L. hr. Mazzuchelli z Bochni. J. Jilek z Nowego Sącza. L. Pick z Pragi.

Hotel Żorża: K. hr. Wodzicki z Olejowa. J. Frommel z Pawłosiowa. M. Rosenstock z Skałatu. A. br. Künsberg-Langenstadt z Ustrzyk. S. D. Kęplicz z Wołosowa. M. hr. Łoś z Czyszek. F. Frank z Wiednia. E. Bayer Bayersfeld z Krakowa.

Hotel Francuski: D. J. Czyrniański z Wiednia. W. Łuszpiński z Komarna. L. Madejski z Brzeżan. M. Kantorowicz z Wiednia. S. Poland z Londynu. M. Kahn z Stuttgartu.

Hotel Langa: A. Łopuszański z Rosji. E. Golkowski z Starego miasta. K. Jankiewicz z Przemyśla. V. Adler z Czerniowiec. A. Fischel z Wiednia.

Hotel Krakowski: J. Gregowicz z Stryja. J. Siemiński z Czerniowiec.

Hotel Angielski: T. Rozwadowski z Dołpotowa. H. Wiśniewski z Putiatyniec. K. Paygert z Sodorowa. Dr. A. Iskrzycki z Sanoka. J. Mayer de Scharfenberg z Czerniowiec.

Z zbożowych targów

7 lipca	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Jarosław
Pszenica	7 25—8 50	7.——8.25	7.——8.—	7.50—8.75
Żyto	5.50—6.35	5.40—6.95	5.25—5 80	6.——6.60
Jęczmień	5.50—7.—	5.25—6.—	5.——5.75	5.50—6.50
Owies	6.10—6.50	6·50—6.60	6.60—.—	6 50—.—
Groch	6.— 9.50	5 85 8.—	5.85 8.—	7— 9 —
Wyka	.— .—	.—— .—	.—— .—	.—— .—
Rzepak	8 90 9 25	.— .—	.— .—	.— .—
Lnianka	—.——.	—.——.—	—.——.—	—.——.—
Konic. czer.	25.—30 —	—.—— .—	—.——.—	—.——.—
Konic. biała.	25—30.	—.——.—	—.——.	—.——.—
Konic. szwed.	25—30—	.——.—	——.—	——.—.—

wszystko za 100 kilo netto bez worka.
Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł 5. — 19 nominalnie.

Lwów. Z Izby handlowej, 7 lipca 1886.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	186 —	189 —
„ lwow. czer.-jass. 200 zł. w. a.	226 50	229 —
Banku hypot. galic. 200 zł. w. a.	278 —	283 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	215 —	220 —

2. Listy zastawne za 100 złr.

Tow. kred. galic. 5 prc. w. a	101 30	102 30
„ „ „ 4 „ „	95 50	96 75
„ „ „ 5 „ okres.	101 30	102 30
„ „ „ 4 „ „	93 50	94 50
Banku krajowego 4½ % w. a.	96 —	97 —
„ hyp. galic. 6 „ „	102 75	103 75
„ „ „ 5 „ „	99 50	100 50
„ „ „ 5 „ z 10% prm.	101 70	102 70

3. Listy dłużne za 100 złr.

G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	— —	54 —
„ „ „ „ (d. 5%) 2½% „	— —	50 —

4. Obligi za 100 złr.

Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104 70	105 70
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	99 25	100 25
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	103 50	105 —
„ „ „ 1883 4½ % „	95 —	96 50

5. Losy.

Losy miasta Krakowa	17 —	19 —
„ „ Stanisławowa	26 —	28 —

6. Monety.

Dukat holenderski	5·84	5·94
Dukat cesarski	5·87	5 97
Półimperjał rosyjski	10·28	10·38
Rubel rosyjski srebrny	1·54	1·64
„ „ papierowy	1·21¼	1·23¼
100 marek niemieckich	61.50	62.20

Prenumerata „Przeglądu“ miesięczna we Lwowie kosztuje tylko 75 centów, a z donoszeniem do domu 1 złr.

*Prenumerować można w trafice hotelu ANGIELSKIEGO, w trafice w kamienicy p. Stromengera (ul. Karola Ludwika), lub w drukarni PILLERA i Sp. (Łyczakowska l. 3). Stosownie do tego, w którem z tych trzech miejsc zostanie **Przegląd** zaprenumerowany, tam też wypadnie się zgłaszać po odbiór pisma. Osoby zaś chcące prenumerować **Przegląd** z donoszeniem do domu, raczą się zgłaszać albo do drukarni PILLERA i Sp. (Łyczakowska l. 3), albo do Administracji **Przeglądu** (Sykstuska l. 45). Można także zawiadomić o tem Administrację „Kartą korespondencyjną,“ a woźny administracyjny zgłosi się po odbiór prenumeraty z kwitem poświadczonym stampilją Administracji **Przeglądu.***

Ruch pociągów.

Ze Lwowa odchodzą:

(Podług zegaru lwowskiego).

Do Krakowa	*10.44	4.10	*8 25	—.—	4 50
Do Podwołoczysk	10.25	—.—	*4.08	*6.10	12 38
„ (z Podzamcza)	10.55	—.—	—.—	*6.22	1.08
Do Czerniowiec	—.—	11.06	—.—	*6.20	12 22

Do Lwowa przychodzą:

Z Krakowa	9.27	*5.50	11.35		*8.58
Z Podwołoczysk	*10.24	3.05	*2.15	3.50	—.—
„ (na Podzamcze)	*10.10	2.28	—.—	3.19	—.—
Z Czerniowiec	*10.03	8.35	—.—	3.30	—.—

* Gwiazdką są oznaczone pociągi pośpieszne W obwódkach czarnych ▭ są godziny nocne, to jest od szóstej wieczór do szóstej rano.

Międzynarodowe telegraficzne sprawozdanie o stanie pogody z dnia 4 Lipca 1886 r.					
Stacje	Temperatura Celsjusza o 7 godz r.	Maximum temperatury w południe	Kierunek wiatru i siła jego od 1—12		Stan nieba
Praga	17 4	—	S	2	¾ zachm.
Kraków	16 2	22	W	1	zachm.
Lwów	14 9	19	NW	4	zachm.
Tarnopol	16 8	24	—	0	jasne
Wiedeń	17·6	23	WNW	1	¾ zachm
Grac	—	—	—		—
Peszt	20 2	25	W	1	¼ zachm.
Serajewo	11 0	25	SE	3	jasne
Tryjest	22 9	24	W	1	jasne
Pola	20 0	28	—	0	jasne
Kopenhaga	13.3	—	NW	3	¾ zachm.
Hamburg	12·8	—	NW	3	zachm.
Berlin	16 4	—	WNW	4	zachm
Monachjum	18 6	23	—	0	¼ zachm
Zurich	17 1	25	—	0	jasne
Genewa	19 0	—	S	2	jasne
Paryż	17·7	14	N	2	mgła
Biarritz	19 0	—	SW	2	jasne
Nicea	22 5	—	E	1	jasne
Turyn	22 1	26	—	0	jasne
Florencja	20 0	32	—	0	jasne
Rzym	22 0	29	NE	1	¼ zachm
Neapol	21 0	25	NNW	6	jasne
Palermo	23 4	32	WSW	1	¾ zachm
Malta	22 8	25	E	4	zachm.
Sztokholm	—	—	—		—
Petersburg	16·3	—	—	0	¾ zachm.
Moskwa	—	—	—		—
Warszawa	14·5	—	—	0	deszcz
Kiew	14·9	—	NNW	1	¼ zachm
Odessa	—	—	—		—
Konstantynopol	19 9	23	—	0	¼ zachm
Gleichenberg	16 2	25	—	0	jasne
Abbazia	20 6	30	—	0	jasne
Riva	20 5	27	NNW	1	jasne
Lugano	20 0	—	—	0	jasne

N oznacza wiatr północny, E wschodni, W zachodni, S południowy.

Papier z fabryki Braci Fiałkowskich w Bielsku i w Białej. Z... i litografji Pillera i Spółki.